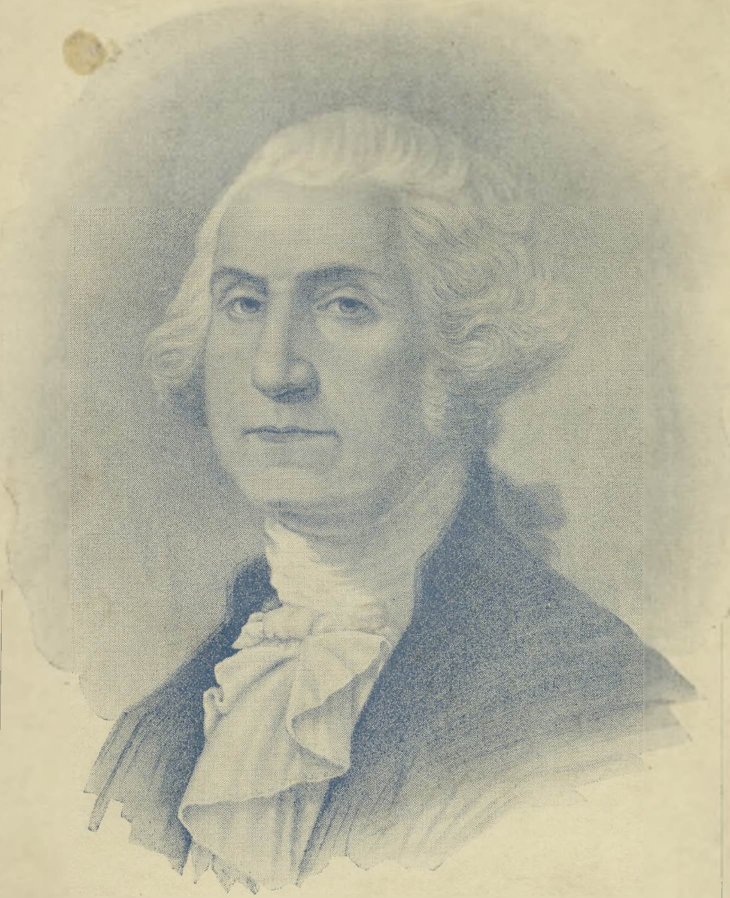


1732-1932

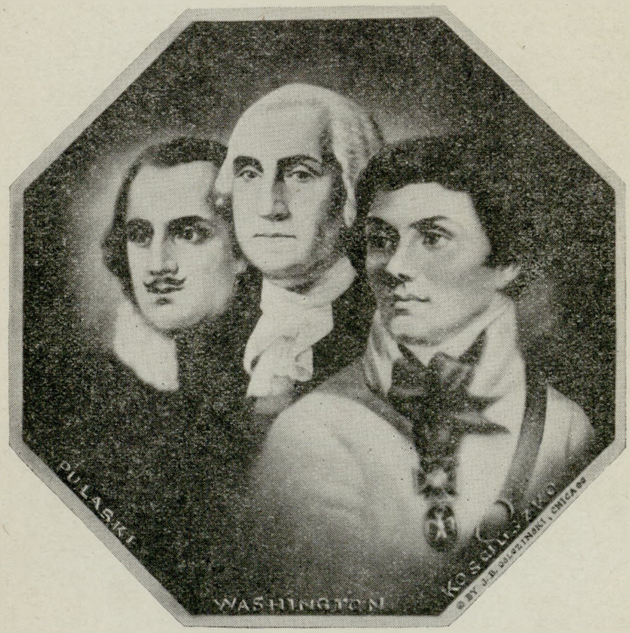
W Dwusetną Rocznicę Urodzin

Jerzego Washingtona

WYDAŁ
WYDZIAŁ OŚWIATY
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
1932

W DWUSETNĄ ROCZNICĘ URODZIN

JERZEGO WASHINGTONA



WYDAŁ
WYDZIAŁ OŚWIATY
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
1932

Drukiem Dziennika Związkowego-Zgoda,
1406-08 W. Division St., Chicago, Ill.
347

JERZY WASZYNGTON
Przyjaciel Polski i Polaków

Napisał Mieczysław Haiman.

"Pierwszy w Wojnie, Pierwszy w Pokoju, Pierwszy w Sercach Rodaków"

Niemaż w Stanach Zjednoczonych nikogo, kto by nie wiedział, do kogo słowa te odnoszą się. Każdemu odrazu nasuwają one na myśl wyniosłą, pełną powagi i szlachetności, postać "ojca ojczyzny" naszej przybranej — Jerzego Waszyngtona.

W bieżącym roku naród amerykański obchodzi dwusetną rocznicę urodzin tego męża, który najwięcej przyczynił się do stworzenia Stanów Zjednoczonych niepodległem państwem i położył pierwsze podwaliny pod przyszłą ich potęgę. Nazwisko jego jest ściśle związane z dziejami Ameryki. Ale nie tylko ona — cały świat z szacunkiem wymawia jego imię i podziwia jego cnoty i czyny.

Jerzy Waszyngton urodził się dnia 22-go lutego 1732 w Bridges Creek, w powiecie Westmoreland, w Wirginji, jako syn Augustyna Waszyngtona, zamożnego plantatora, i jego drugiej żony, Marji Ball. W rodzinie było nadto czworo dzieci z pierwszego małżeństwa ojca i pięcioro z drugiego, z tych Jerzy najstarszy. Augustyn Waszyngton umarł w r. 1743 i odtąd wychowaniem sierot kierowała matka. Jerzy otaczał ją zawsze najgłębszą czcią i miłością.

O dzieciństwie jego wiadome są tylko nieliczne szczegóły. "Prawdomówność i sprawiedliwość były głównemi cnotami jego charakteru", powiada jego

biograf, Benson Lossing. "Był zawsze kochany przez rówieśników i zawsze wybierali go na przewodnika swych harców wojennych."[1]

Wykształcenie, jakie odebrał, było przeciętne; celował jednak w matematyce, w której głównie był samoukiem. Zresztą pędził życie, jak inni chłopcy na plantacjach południowych: — polował, łowił ryby, czytał i przez czytanie wyrobił sobie ów piękny i poważny język ojczysty, którym odznaczają się jego pisma.

W r. 1847 Waszyngton opuścił szkołę i zamieszkał w Mount Vernon, u przyrodniego swego brata Wawrzyńca, który był zarazem jego opiekunem. W rok potem, mając wówczas lat 16, został zamianowany mierniczym na posiadłościach lorda Fairfax, a wkrótce mierniczym publicznym. W 17-ym roku słynął jako najlepszy mierniczy w Wirginji. Przez trzy lata dokonywał pomiarów ziemi na kresach Wirginji. Zawód ten zapoznał go z charakterem kraju, ze zwyczajami Indjan, z życiem obozowem i zahartował jego siły fizyczne. Była to pierwsza jego praktyczna szkoła do przyszłego zawodu.

W r. 1751 towarzyszył Wawrzyńcowi w podróży do Indji Zachodnich, dokąd ten, chory na suchoty, wyjechał dla poratowania zdrowia. Jerzy zapadł tam na ospę, która na zawsze pozostawiła ślady na jego obliczu. W następnym roku brat przyrodni zmarł, a posiadłość jego Mount Vernon stała się własnością Jerzego. Odtąd imię jej łączy się ściśle z historją jego życia i do dziś naród amerykański otacza ją szacunkiem jako jedną z najdroższych pamiątek.

Kiedy Francuzi, panujący wówczas nad Kanadą, zaczęli budować forty na południe od jeziora Erie, gubernator Wirginji, Dinwiddie, w jesieni 1753 wysłał Waszyngtona jako posła z ostrzeżeniem do nich. Mimo wielkich trudności drogi, młodzieniec wypełnił po-

---

1) Lossing, Eminent Americans, N. Y., 1883, str. 55.

myślnie swą misję i w nagrodę za to po powrocie został mianowany podpułkownikiem jednego z pułków wirginijskich. W r. 1754, podczas wojny francusko-indjańskiej, młody Waszyngton, wysłany z dwoma kompanjami wojska, pobił Francuzów i Indjan pod Great Meadows, w powiecie Fayette, Pa. (28 maja), ale, otoczony w Fort Necessity, w tejże okolicy, musiał kapitulować (3 lipca). Wirginijska legislatura, oceniając jego odwagę, uchwaliła mu rezolucję dziękczynną za tę wyprawę. Mianowany pułkownikiem i adjutantem gen. Braddocka, uczestniczył następnie w jego nieszczęśliwej wyprawie, zakończonej klęską Anglików i śmiercią samego Braddocka. Wśród rozbicia rozbłysła poraz pierwszy w całej pełni owa żelazna energja Waszyngtona, która najwięcej pomogła mu później do zwycięstwa w nierównie doniośIejszej rozprawie. Waszyngton uratował resztki wojsk Braddocka od zupełnego zniszczenia.

Po powrocie 23-letni młodzieniec mianowany został naczelnym dowódcą sił zbrojnych Wirginji. Nim wojna skończyła się, odbył jeszcze jedną wyprawę pod gen. Forbesem, która zakończyła się zajęciem Fortu Duquesne, dzisiejszego Pittsburga (Pittsburgh).

Po wojnie Waszyngton złożył dowództwo, ożenił się z Martą Custis, z domu Dandridge, piękną 27-letnią wdową po majętnym plantatorze wirginijskim, i osiadł z nią na stałe w Mount Vernon. Przez małżeństwo to stał się jednym z najbogatszych mieszkańców kolonij. Całe następne 15 lat prowadził ciche życie wiejskie, z zamiłowaniem oddając się pracom rolnika, od których odrywały go od czasu do czasu jedynie obowiązki posła do legislatury.

Nadeszły potem czasy zatargów kolonij z macierzą. Waszyngton stanął w nich odrazu po stronie opozycji, za zasadą: — no taxation without representation. W r. 1774 Wirginja wybrała go jednym z delegatów do pierwszego kongresu kontynentalnego i odtąd Waszyngton występuje na szerszą widownię dzie-

jową. Jego charakter, zdolności wojskowe, jego gorący patrjotyzm otwarły mu w rok potem drogę do najwyższej godności, jaką naród amerykański mógł mu wówczas ofiarować — mianowicie naczelne dowództwo nad armją w wojnie o niepodległość (15 czerwca 1775). Waszyngton przyjął odpowiedzialny urząd, choć zawsze, nawet po zwycięskiej wojnie i aż do śmierci uważał się za lichego wodza, — co chyba najlepiej świadczy o jego skromności. Zastrzegł się też, że służyć będzie bez żadnej zapłaty, jedynie tylko za zwrot kosztów osobistych, które za całe 8 lat lat wojny wyniosły $64,000.

Zadanie Waszyngtona było rozpaczliwie trudne. Kolonje zaczynały wojnę z jedną z największych potęg świata, same słabe nietylko zewnętrznie, bez armji, bez zasobów, — ale i wewnętrznie, rozdarte niechęciami i zazdrościami dzielnicowemi. Przez 8 lat Waszyngton musiał walczyć nietylko z wrogiem w polu, ale i z największym niedostatkiem, który doprowadzał do buntów, z intrygami, z jawną zdradą, z niecierpliwością rodaków i niewiarą ich w możliwość zwycięstwa. Na jego miejscu tysiące innych upadłyby, — on wytrwał, w najczarniejszych chwilach znajdował w sobie dosyć hartu ducha, aby nietylko samemu nie poddać się zwątpieniu, ale i drugich zagrzać otuchą. W strasznym ogniu wojny rewolucyjnej postać jego zawsze jaśnieje powagą, niemal majestatem, i niezłomną energią. On jeden w całej ówczesnej Ameryce zdolny był łączyć i zagrzewać umysły rodaków, umiał zażegnywać najgroźniejsze intrygi i wydobywać z narodu najwyższy stopień męstwa i wytrwałości. Jemu też zgodnie historja przyznała główną zasługę w wygraniu wojny rewolucyjnej. Bez Waszyngtona, jako kierownika rewolucji, Ameryka nie zdobyłaby się wówczas na niepodległość.

Te właśnie cnoty męża stanu u Waszyngtona miały największe znaczenie dla rewolucji. Jego właściwa działalność wojskowa odgrywa dopiero drugorzędną

rolę. Waszyngton nie był genjuszem wojennym; był jednak wodzem zdolnym, czujnym, a nadewszystko wytrwałym. Takiego właśnie potrzebowali Amerykanie, którzy "chociaż liczni, czynni i zdecydowani, byli równocześnie surowi, niewykształceni, niekarni i nieobeznani z tem wszystkiem co dotyczy sztuki wojennej".[1] Z tego surowego materjału trzeba było dopiero tworzyć armję, co było pracą o wiele trudniejszą, niż odniesienie zwycięstwa w polu. Żadna z akcyj wojennych Waszyngtona nie była olśniewającym triumfem; było wśród nich więcej klęsk niż powodzeń orężnych, chociaż nie z jego winy; ale w prawdziwej swej wielkości występuje on właśnie w tych niepowodzeniach. Przebycie pamiętnej zimy 1777-1778 r. na strategicznej pozycji w Valley Forge, mimo okropnej nędzy żołnierzy, wbrew powszechnemu niezadowoleniu narodu, wbrew ciągłym mieszaniom się zniedołężniałego kongresu, wbrew zdradzie Arnolda, wbrew temu, że wielu, wielu z tych, co zrazu też stanęli po stronie rewolucji, byli teraz niemal gotowi uczynić to samo, co Arnold, — to był stokroć większy jego wojenny czyn, niż świetny napad na Trenton lub Princeton (z końcem r. 1776), niż znakomity marsz na Yorktown, zakończony zmuszeniem Cornwallisa do kapitulacji (1781).

W tym okresie wojennym Waszyngton zetknął się zbliska poraz pierwszy z Polakami. Szczytne hasła wojny zwabiły do Ameryki dwóch największych ówczesnych Polaków, Tadeusza Kościuszkę i Kazimierza Pułaskiego. Oprócz nich na pomoc walczącym kolonjom przybyli i inni, mniej znaczni. Prawie każdy z nich zapisał chlubnie swe nazwisko w dziejach wojny rewolucyjnej. Kościuszko przyczynił się walnie do rozstrzygającego zwycięstwa pod Saratogą; "jego staraniu i skrzętnej ocenie naród amerykański zawdzięcza obronę West Point";[2] genjusz jego pomógł wiele

---

1) Analectic Mag. XI. 424.

2) Słowa Waszyngtona, Boynton, History of West Point, I, 11.

gen. Greene'owi do zwycięskiej kampanji na południu. Pułaski ocalił armję Waszyngtona pod Warren Tavern a potem miasto Charleston, S. C., od kapitulacji przed Anglikami, nim poległ po bohatersku pod Savannah. Pułkownik Michał Kowacz, podpułkownik DeBoze, kapitan Jan Zieliński również życia swe położyli za wolność Ameryki. Waszyngton odnosił się zawsze do Polaków w armji amerykańskiej z taktem i bezstronnością. Kościuszko i Pułaski pozyskali wiele pochwał z ust jego. Obu uważał za swych osobistych przyjaciół.

Już u schyłku wojny odwiedził Waszyngtona w jego ostatniej głównej kwaterze w Rocky Hill, N. J., Tomasz Kajetan Węgierski, poeta polski,[1] który umyślnie przebył Atlantyk (w r. 1783), aby zwiedzić pobojowiska wojny rewolucyjnej i zobaczyć wielkiego Amerykanina. Węgierski tak opowiada o tem spotkaniu:

"Jest to jedyny człowiek, którego głos ma zawsze znaczenie czy to w zgromadzeniach ustawodawczych rozmaitych stanów, czy to w kongresie... Jest to jeden z najpiękniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem; jego postać jest szlachetna, twarz wojownika, sposób zachowania się spokojny. Grzeczność z jego strony, okazywana od pierwszej chwili spotkania aż do ostatka, podobała mi się niesłychanie i przy końcu dwuch godzin nie można było spostrzec, że się dopiero co poznało go... Zapraszał mnie, abym przepędził kilka dni w jego posiadłości Mount Vernon; opuściłem go z żalem, tembardziej, że nie miałem nadziei ujrzeć go znowu kiedykolwiek."[2]

Z tym samym taktem, który zawsze go cechował, Waszyngton po zwycięskiej wojnie odsunął propozycję części swych oficerów, aby ogłosił się królem Ameryki. Złożywszy władzę, niemal dyktatorską, jaką piasto-

---

1) Urodz. 1756, umarł 1787.

2) Węgierski, Podróż do Ameryki, Przew. Lit. Nauk., 1908; Haiman, Polacy w walce o niepodległość Ameryki, 237.

wał w czasie wojennym, w ręce kongresu, usunął się ponownie do swego Mount Vernon.

Ojczyzna nie dała mu jednak długo odpoczywać na laurach. Kiedy w maju 1787 w Filadelfji zebrała się federalna konwencja dla ułożenia konstytucji Stanów Zjednoczonych, obowiązującej do dzisiaj, Waszyngton, obecny na niej jako delegat Wirginji, jednogłośnie został wybrany jej przewodniczącym. Za jego głównie wpływem konstytucja została potem zatwierdzona przez poszczególne stany, choć nie wszystkie były z niej zadowolone. Kiedy zaś przyszło następnie do wyboru pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych, elektorzy jednogłośnie jego wybrali na ten urząd. Waszyngton piastował prezydenturę przez dwa terminy z wielkim pożytkiem dla kraju. A chociaż były to już czasy pokoju, zadania jego również nie były łatwe. Kraj tonął w powodzi długów, spowodowanych przez wojnę.[1] Rząd federalny nie miał jeszcze za sobą tradycji i powagi. Zawiści dzielnicowe nie ustawały.

"Szczęście było dla Ameryki, — niestety! nie wszystkim dane narodom" — pisze J. U. Niemcewicz, pierwszy w Polsce biograf Waszyngtona, — "iż nowy rząd jej zaczął się pod przewodnictwem męża, który nauczył naród konstytucję swą kochać i szanować. On burzliwe uśmierzył fakcje, upoważnił sprawiedliwość, zachęcił nauki, rolnictwo i handel, ustanowił banki publiczne, założył prosty i wyborny sposób umarzania długów Rzeczypospolitej i zaległej wojsku zapłaty, — słowem, wprowadził cały dzisiejszy skarbowy system.

"Waszyngton, po dwakroć obrany prezydentem, strawił lat ośm na tym ważnym i pracowitym urzędzie; pod mężem takim, jak on, był to czas dostateczny do dania nowej ustawie pewnego i ciągłego ruchu i wpra-

---

1) Znaczne zasługi na polu finansowo-gospodarczem oddał w tym czasie Stanom Zjednoczonym Piotr Stadnicki, bankier w Amsterdamie, potomek polskich wychodźców (Haiman, Polacy wśród pionierów Ameryki, str. 43).

wienia wszystkich rzeczy w przyzwoite kluby. Łatwiejsza następcom jego pozostała praca"[1]

Naród był gotów wybrać go na trzeci termin, ale Waszyngton, podówczas już 65-letni starzec, nie przyjął zaszczytu. Odtąd-to powstał zwyczaj, że prezydenci Stanów Zjednoczonych urzędują nie dłużej, jak dwa terminy.

"Po dwudziestu i trzech latach spędzonych na usługach ojczyzny, Waszyngton, oddawna już wzdychający za spokojnością i odpoczynkiem, siły swe zwątlonemi już czując,"[2] powrócił do Mount Vernon w r. 1797. Tam znowu oddał się ulubionemu zajęciu rolnika, starając się o podniesienie swych plantacyj, podupadłych skutkiem długoletniej nieobecności gospodarza. Dom jego mógł służyć za wzór staropolskiej gościnności. Nie było prawie dnia w Mount Vernon bez gości. Przybywali tam rodacy, przybywali i obcy, aby podziwiać starca, którego sława ogarnęła już cały świat.

Między innymi, gościem Waszyngtona w Mount Vernon był Juljan Ursyn Niemcewicz, sławny autor "Śpiewów Historycznych", mąż stanu i żołnierz za wolność Polski.[3] Dostawszy się razem z Kościuszką do niewoli pod Maciejowicami, razem z nim uwolniony z więzienia petersburskiego, towarzyszył Kościuszce w drugiej jego podróży do Ameryki w r. 1797. Kościuszko pierwotnie zamierzał osiąść na stałe w przybranej ojczyźnie zamorskiej, szczęśliwszej od rodzonej. Głos obowiązku narodowego powołał go jednak rychło z powrotem do Europy. Niemcewicz pozostał w Ameryce i wówczas to zaproszony przez Waszyngtona do jego siedziby, spędził tam dwa tygodnie, goszczony jak najserdeczniej.

---

1) J. Niemcewicza pism różnych tom I, str. 237.

2) J. Niemcewicza pism różnych tom I, str. 243.

3) Urodz. 1757, zmarł 1841.

O swych wrażeniach z pierwszego spotkania z wielkim mężem tak opowiada:

"Około godziny siódmej przybyliśmy do domu państwa Peters.[1] Możecie sobie wyobrazić, jak mi biło serce. Miałem ujrzeć człowieka, dla którego od mej młodości miałem głęboki szacunek. Spostrzegłem Waszyngtona przez okno i wraz go poznałem. Wyszło z dziesięć osób przeciwko nam, jam nie widział nic, jak tylko jego. Prezentowany mu byłem przez pana Law.[2] Wyciągnął do mnie rękę i ścisnął moją.

"Przeszliśmy do pokoju; siadłem przy nim; nie mówiłem, alem go pilnie uważał.

"Postać jego jest wspaniałą i łączy dostojeństwo ze słodyczą. Portrety, którem widział w Europie, nie bardzo są podobne do niego. Ma wzrostu około sześć stóp, w sobie mężny i silny; nos pociągły, oczy niebieskie, niższa część twarzy, osobliwie szczęki, wklęsłe, gęste włosy. Miał na sobie frak ciemno-orzechowy, pończochy i spodnie czarne, satynową kamizelkę.

"Zaczął rozmowę, pytając mnie o gen. Kościuszkę, o jego zdrowie, o podróży do wód etc. Waszyngton zadał mi następujące pytania:

"— Jak dawno jesteście w tym kraju?

"— Ośm miesięcy.

"— Jakże się podoba?

"— Rad jestem znajdować się w tym kraju to uszczęśliwienie, które tak gorąco w ojczyźnie mej widzieć pragnąłem. Wam, generale, Ameryka winna jest swobody swoje.

"Skromnie skłoniwszy głowę, rzekł mi:

---

1) Peters był żonaty z wnuczką pani Waszyngtonowej.

2) żonaty z drugą wnuczką pani Waszyngtonowej.

"— Jak każdy poczciwy człowiek, tak i ja z duszy ojczyźnie waszej dobrze życzyłem. ("I wished always to your country well and that with all my heart").[2]

"Słowa te wyrzekł z czułością.

"Przybliżyłem się do pani Waszyngton. Jest ona wzrostu małego, oczu żywych, wesoła i dziwnie dobra. Miała na sobie robron z białej materji, wkoło szpilkami opięty, kornecik z gazy białej, z wstążką tegoż koloru, odkrywający całe czoło i większą część siwych włosów, które z tyłu podnosiły się w warkoczyk. Była to kiedyś sławna w Ameryce piękność i dotąd zostało w niej coś przyjemnego i pociągającego.

"Przyniesiono herbatę. Znalazłem sposobność, aby być blisko generała. Pytał mnie, jeżelim już wiele ze Stanów Zjednoczonych zwiedził. Odpowiedziałem, iż dotąd nie byłem dalej, jak w Nowym Jorku, żem się zadziwił patrząc, jak dotąd kraj ten nowy postąpił w rolnictwie i ludności.

"— Wyznać należy, — rzekłem — iż lud ten najswobodniejszym i najszczęśliwszym jest na świecie.

"— Byleby — przerwał generał — szczęścia tego nie popsuł.

"Zaczęło się zmierzchać i my zabraliśmy się do odjazdu. Generał Waszyngton odprowadził nas, i żegnając rzekł:

"— Będę bardzo szczęśliwym, jeżeli pan zechcesz mnie odwiedzić w Mount Vernon, spodziewam się, że mi tego nie odmówisz.

Niemcewicz skwapliwie skorzystał z uprzejmego zaproszenia i niedługo potem przybył rzeczywiście do Mount Vernon, podejmowany tam jak najgościnniej.

---

[2] Tak podaje W. M. Kozłowski w "A Visit to Mount Vernon a Century Ago," Century Magazine, luty, 1902.

"— Miano dla mnie w tym szanownym domu — opowiada — względy i atencje, jak większych dla krewnego mieć nie można było."[1]

Do tych to właśnie miłych chwil pobytu w domu Waszyngtona odnosi się piękny wiersz Niemcewicza, w którym poeta wspomina:

"Ilekroć z uniesieniem w Mount Vernon schronieniu
"Mądrych Jego powieści słuchałem w milczeniu!
"I On mię pytał. A gdym skromnie odpowiadał,
"Jakie nam ciężkie klęski spisek wrogów zadał,
"I jak Polska runęła w świetnych swych zawodach,
"Stoczyła się łza rzewna po starca jagodach.
"O łzo! coś chlubne dla nas dowodziła żale,
"Czemum cię nie mógł zawrzeć w kosztownym krysztale!
"Chlubnym byłabyś świadkiem, zbyt rzewnem wspomnieniem,
"Że mąż wielki zapłakał nad Polski zniszczeniem![2]

Z podziwem opisuje Niemcewicz skromne życie Waszyngtona, na które sam patrzał w Mount Vernon:

"Od momentu oddalenia się swego od spraw publicznych i schronienia w domowem zaciszu, prowadzi życie spokojne i regularne. Wstaje o godzinie piątej zrana, pisze lub czyta aż do siódmej. O tej godzinie domowi i goście, mężczyźni i damy muszą się znajdować w śniadalnym pokoju. Śniadanie jego składa się z herbaty i miękkich placuszków, a raczej łazanków z kukurydzy; smaruje je gorącem masłem, a potem na masło miodem. Zaraz potem wsiada na konia dla doglądania roboty w polu, często sam pracuje siekierą, często wśród pola, siedząc na koniach, z ekonomem składają wojenną radę; powraca po drugiej, ubiera się i idzie do stołu; lubi przy kilku kieliszkach Madery rozmawiać z przyjaciółmi; po obiedzie czyta pil-

---

1) Wiadomość o Waszyngtonie, str. 302; Haiman, Polacy w walce o niepodległość Am., str. 315.

2) List do gen. Kniaziewicza, Paryż, 1834.

nie gazety, których ze dwanaście może odbierać gatunków. Jeżeli są nagłe listy do odpisu, odpisuje; powraca zaraz do rozmowy i kompanji; o dziewiątej idzie spać."[1]

Wkrótce potem potrzeba publiczna jeszcze raz i poraz ostatni wywołała Waszyngtona na widownię dziejową. W r. 1798, kiedy zanosiło się na wojnę Ameryki z Francją, został poraz drugi zamianowany naczelnym dowódcą armji amerykańskiej. W czasie tych przygotowań wojennych przeziębił się i zachorował nagle. Po jednym dniu choroby umarł w Mount Vernon, w dniu 14-go grudnia 1799.

Śmierć miał spokojną. Zupełnie przytomny aż do ostatka, pożegnał się z rodziną, służbą, przepraszał lekarza i krewnych, że sprawił im sobą kłopot i, sam próbując swego słabnącego pulsu, wyzionął ducha. Testamentem polecił nadanie swobody swym murzynom-niewolnikom. Pochowany został w grobowcu rodzinnym w Mount Vernon, dokąd dotychczas corocznie śpieszą pielgrzymki rodaków, aby złożyć hołd pamięci największego z Amerykanów.

"Śmierć gen. Waszyngtona okryła żałobą Stany Zjednoczone — opowiada Niemcewicz. — Wszystkie ważniejsze miasta Ameryki obchodziły pogrzeb jego. Ja byłem na obchodzie tym w Nowym Jorku. Gouverneur Morris, jeden z najznaczniejszych obywateli miasta tego, miał piękną pogrzebową mowę. W pompatycznej procesji prowadzono trumnę jego. Cała milicja miasta wystąpiła i trójkrotnym strzałem pożegnała cienie wielkiego męża. Wszędy atoli prawdziwa zasługa ma oszczerców. Ileż razy zdarzyło mi się słyszeć utrzymujących, że Waszyngton był tchórz, a Franklin głupi."

Potomność jednak inaczej oceniła zasługi Waszyngtona. Naród amerykański słusznie szczyci się

---

1) Niemcewicza pism różnych I, 301.

nim jako największym ze swych bohaterów. Tem większa chluba dla nas, że był on szczerym przyjacielem Polski. Wspomnienia Niemcewicza są najlepszym tego dowodem. To samo wskazują wyjątki z jego pism. Uchwalenie Konstytucji 3-go Maja odrazu zwróciło uwagę Waszyngtona, podówczas prezydenta Stanów Zjednoczonych. W prywatnym liście do swego przyjaciela, Dawida Humphreysa, posła amerykańskiego na dworze portugalskim, pisał 20 lipca 1791:

"Polska, jak donoszą gazety, zdaje się zrobiła wielki i niespodziewany krok ku wolności; co, jeśli okaże się prawdziwe, rzuca duży zaszczyt na obecnego króla, który wygląda na głównego kierownika tej sprawy."[1]

Kiedy Kościuszko przybył poraz drugi do Ameryki, Waszyngton, witając go w kraju, "do którego wolności tak wiele przyczynił się", zapewniał go, że "nikt serdeczniej odemnie nie pragnął podczas Twojej trudnej walki dla sprawy wolności i Twej ojczyzny, aby uwieńczona została zwycięstwem.[2]

Do Niemcewicza zaś na pożegnanie pisał 18-go czerwca 1798:

"Że ojczyzna Pana nie jest szczęśliwa, jak usiłowania jej były patrjotyczne i szlachetne, jest to nieszczęściem, które wszyscy miłośnicy rozsądnej wolności i praw człowieka gorzko opłakują; i gdyby modły moje w czasie tych twardych zapasów mogły się były przydać na co, bylibyście teraz pod własnem swem winnem i figowem drzewem (wedle wyrażenia biblji) równie szczęśliwi w cieszeniu się temi pożądanemi darami, jak lud tych Zjednoczonych Stanów cieszy się swojemi."[3]

Nawzajem też ówczesna Polska odnosiła się z życzliwością i podziwem dla powstających Stanów Zjednoczonych i Waszyngtona. Wyjazd patrjotów

---

1) Haiman, Polacy wśród pionierów Ameryki, stronica 152.

2) M. I. J. Griffin, Catholics and the Am. Rev., III, 190.

3) Niemcewicza pism różnych I, 316.

polskich pod sztandary amerykańskie nie był tylko odosobnionym odruchem jednostek, ale był w dużej mierze wyrazem ogólno-narodowych sympatyj. Przodował w tem sam król Stanisław August, który żywo interesował się rewolucją amerykańską i jeszcze przed wybuchem wojny wypowiadał się po stronie uciemiężonych kolonij, przewidując nawet ostateczną ich niepodległość.[2] Kiedy Waszyngton został wybrany prezydentem, król polski wysłał mu list z powinszowaniem, który, niestety, zaginął. Przechował się natomiast inny list Stanisława Augusta do Waszyngtona, pisany z Grodna, 27-go kwietnia 1795, już po trzecim rozbiorze Polski, w którym nieszczęsny król zapewniał amerykańskiego bohatera:

"Pańskie zachowanie się w wojnie i pokoju już oddawna pobudzało mnie do pragnienia, aby wyrazić Ci wysokie poważanie, jakie żywię dla Ciebie... Będzie to przyjemnem dla mnie, że Amerykanin będzie tym, który zawiezie oznaki mego szacunku i uczucia pomiędzy swych rodaków, pomiędzy ten naród, który umiał już sobie zdobyć takie poważanie ze strony mieszkańców starej półkuli, który może w tak wielu względach służyć im za naukę i wzór."[3]

Wymowny to dowód sympatyj amerykańskich Stanisława Augusta — jaka szkoda, że podziw dla Waszyngtona ograniczał się u niego tylko do uczuć, a nie zdołał go pobudzić do naśladownictwa czynów.

Tak jak król, czuł i ogół Polaków. Znaczna liczba współczesnych druków polskich, dotyczących rewolucji amerykańskiej, zaświadcza o tem. Paweł Mostowski, wojewoda mazowiecki, pobudzony odgłosami wojny, roił plany "Nowej Polski" w Ameryce, a przed-

---

[2] Haiman, Polacy wśród pionierów Ameryki, str. 84-86.

[3] List ten miał zawieźć Waszyngtonowi Ludwik Littlepage, Amerykanin, sekretarz króla. (Haiman, Polacy wśród pionierów Ameryki, 161-162.

kładając je kongresowi kontynentalnemu, zapewniał, iż "cieszy się, że Najjaśniejsze Kolonje uwolnią się od despotyzmu, który je gniecie, i spodziewa się widzieć je cieszące się słodką wolnością, podobną do tej, jaka panuje w jego ojczyźnie."[1]

Współczesny Pułaskiemu i Kościuszce, Józef Wybicki, autor nieśmiertelnego "Mazurka Dąbrowskiego", iście proroczo zapowiadał już po wojnie rewolucyjnej, że: "kolonje angielskie, podług ich nowego ułożenia rządu, podług ich maksym od dawnych wolnych Rzymian przyjętych w czasie krótkim staną się największem państwem. O jakże wiele mieszkańców z uciążliwych europejskich kalectw tam się przeniosą i tam szczęśliwość uwielbiać będą."[2]

Zresztą — podkreślić należy — choć Polska była tak odległą i skutkiem swego wewnętrznego rozkładu mało wówczas znaczyła w świecie politycznym, przyczyniła się jednak pośrednio do zwycięstwa Amerykanów. Ona to, w czasie gdy Ameryka walczyła, zatrzymała na sobie uwagę dwóch najdrapieżniejszych państw, Prus i Rosji. Gdyby nie Polska, gdyby nie to, że najważniejszym punktem polityki Frederyka i Katarzyny było ustawiczne czyhanie na nowy rozbiór Polski, Prusy i Rosja byłyby może wysłały swe posiłki Anglikom do Ameryki, a wówczas daremne byłyby może trudy Waszyngtona i jego rodaków, daremna pomoc polskich "bohaterów dwóch światów" i innych szlachetnych przyjaciół amerykańskiej wolności.

Polska wyprzedziła Europę a poniekąd i samą Amerykę w wydaniu pierwszego życiorysu Waszyngtona. Autorem jego był Niemcewicz, który w przedmowie swej wyraża przekonanie, iż "cokolwiek się tyczy tak prawdziwie wielkiego człowieka, oswobodziciela narodu swojego, nie wątpię, iż ziomków moich

---

1) Haiman, Z przeszłości polskiej w Ameryce, str. 30.

2) Mowa hr, Fr. Pułaskiego w Filadelfji 17 października 1929.

interesować będzie. Mówię o nim z pochwałą, mówię z uniesieniem; bo komuż cześć należeć się będzie, jeśli nie mężowi, który umiał walczyć i rządzić, którego nie zepsuło powodzenie, nie upoiła władza, który nakoniec dopełnił dni swoich bez zarzutu i skazy." Życiorys ten pod tytułem "Krótka wiadomość o życiu i sprawach generała Washington" wyszedł w ogólnem wydaniu Niemcewicza "Pism różnych", w Warszawie, w r. 1803, na rok przed pierwszą amerykańską biografją Waszyngtona.[1]

"Waszyngton może mieć błędy, bo jest człowiekiem" — charakteryzuje go Niemcewicz — "lecz biorąc rzeczy wogóle, jest to jeden wielki człowiek, bo jeden bez skazy i prywaty; cnoty jego wyrównują usługom, które ojczyźnie swej oddał. W bitwach pokazał odwagę i nieposolitą wojennej sztuki znajomość, w czasiech przeciwnych i trudnych stałość i wytrzymałość, we wszystkich zdarzeniach skromność i bezinteresowność. Służył przez całą wojnę bez żadnej płacy, a w czasie powszechnego wdzięcznych współziomków uniesienia się, nigdy najmniejszej nie chciał przyjąć nagrody; dowiódł nakoniec, że chluby i potęgi nigdy chciwym nie był, mogąc się bowiem na czele rządu i przy najwyższej władzy zostać do śmierci, dobrowolnie złożył prezydenctwo."

Inny pisarz polski, Łucjan Siemieński, tak znowu ocenia Waszyngtona: "Zbliska studjować Waszyngtona było jedno, co kształcić się w najlepszej szkole. Jako ustawodawca, jako filozof, jako wódz naczelny, był on typem tych rzadkich ludzi, co podnoszą ród ludzki i wyciskają na nim piętno boskości. Tak polityka jego, jak życie domowe, są przykładem najwznioślejszej

---

[1] W r. 1800 Mason Weems, pastor protestancko-episkopalny (zmarły w r. 1825), wydał wprawdzie w Ameryce krótki życiorys Waszyngtona, ale bez wartości historycznej, pełnej zmyśleń. W r. 1806 wyszło drugie jego wydanie, rozszerzone. Pierwszym amerykańskim życiorysem Waszyngtona, opartym na dokumentach był Jana Marshalla "Life of Washington" (1804-07.)

bezinteresowności. Kiedy dokoła warczały burze namiętne, on sam jeden odpycha od siebie wszelkie rachuby ambicji. Pomyślność ogółu przez samodzielne rozwijanie się, oto kres jego usiłowań i pragnień. Ani okazałość parad obozowych, ani chwała przywiązana do nazwiska bohatera, ani żadna zewnętrzna oznaka nie zawracała mu głowy; nigdy nie ubiegał się o władzę, a dyktaturę wtedy tylko przyjął, kiedy przekonał się, że w jego ręku stanie się narzędziem dobra pospolitego; lecz wyzuł się z niej natychmiast, skoro uznał, że bez niej sprawa może iść zwykłą koleją. Ta nieustanna troskliwość o dobro publiczne była treścią jego charakteru, co więcej, tworzyła i organizowała jak genjusz."[1]

Waszyngton — to rzeczywiście genjusz niesamolubnej miłości ojczyzny i poświęcenia, genjusz, który łączył w sobie cnoty męża stanu, wodza i organizatora. Dzieje ludzkości znają niewielu jemu podobnych i równych.

Kościuszko, przybywszy poraz drugi do Ameryki, powitał go słowami:

"Mam zaszczyt złożyć moje uszanowanie Panu nietylko jako memu naczelnemu wodzowi, ale jako wielkiemu człowiekowi, którego wybitne zasługi dla ojczyzny uczyniły go drogim dla każdej czującej piersi."[2]

Wypowiedział w tych słowach nasz bohater, wśród historycznych postaci wszystkich narodów najwięcej może podobny charakterem do Waszyngtona, — to, co czuć musi każdy szlachetny człowiek, każdy Polak.

Nam, Polakom amerykańskim, Waszyngton jest podwójnie drogi: — raz, jako największy z Amerykanów, jako przepiękny wzór obywatela i patrjoty, po-

---

1) Siemieński, Żywot Tadeusza Kościuszki, 1866, str. 61.

2) List z 23-go sierpnia 1797, Dr. A. Kahanowicz's Kościuszko Memorial Exhibition, str. 10.

wtóre, jako przyjaciel Kościuszki, Pułaskiego, Niemcewicza, jako współczujący przyjaciel Polski, który — jak sam przyznawał — w czasach walk o jej wolność modlił się za ich powodzenie, w czasach niewoli i smutku płakał nad jej losem.

To też w roku dwusetnej rocznicy jego urodzin Wychodztwo polskie w Ameryce łączy się z całym narodem amerykańskim w hołdzie dla pamięci Jerzego Waszyngtona, "pierwszego w wojnie, pierwszego w pokoju, pierwszego w sercach rodaków."

Ty, coś walczył dla idei,
Chwała Ci!
Boś wykrzesał z swej nadziei
Nawskroś burzy i zawiei
Jasne dni...[1]

---

1) Marja Konopnicka.

POD POMNIKIEM WASZYNGTONA

Na koniu siedzisz — tak potężny,
Jak olbrzym jakiś niezrównany,
Wzrok masz marsowy, zadumany...
A taka wiara, taka siła
Bije od cię, jak ongiś biła,
Gdyś ochotnicze hufce swoje
Wiódł na śmiertelne boje...
Wówczas podobno twoje skronie
Płonęły... jak słońce płonie —
O jenerale — Waszyngtonie!

....

Usta twe ponoć nie znały kłamu,
Serce strachu, ni trwogi..
Na czele garstki ludzi — odłamu...
Rzuciłeś pierwsze iskry pożogi
I rozniecıłeś pożar tak wielki,
Aż zatrzeszczały narodów belki,
Aż rozgorzały dzikie pustkowia,
Aż strach ogarnął królów wezgłowia,
Aż karabinów i armat bicia
Wzbudziły trupów do życia
I rozkrzesały w narodzie wiarę —
By szedł i pomścił krzywdy prastare,
Siłą nie ludzi już — lecz tytanów
Ruszał do walki — o równość stanów,
O utopijną wolność duchową —
O Republikę nową...

....

I pękły z brzękiem kajdan obręcze —
I nowy naród wyszedł z rozmroczy,
Szczątki starganych kajdan cisnął
W Anglji bezczelne oczy —

I niesłychaną dotąd ideą zabłysnął —
I poszedł po nowej wolności tęcze...

....

Czas — starzec już setki razy
Uderzył w spiż oskardem lat,
Nowe idee i rozkazy
Przyszły bezcześcić świat —
Ci, którym dusza twa promieniejąca
Przyniosła blaski wolności ze słońca —
Twe ideały... sprzedali za — szanse
Trzydziestu srebrnych...
Za giełdę, finanse —
I za dolary — dyplomatów blagę —
Nic nie zostało... tylko dusze nagie...

....

A ty wciąż stoisz na twym piedestale,
Jak w nimbie słońca — w historycznej chwale.
Rysy twe rzymskie i wzrok genjusza
Zda się glob cały w biegunach porusza —
I smutny jesteś, zadumany, blady,
Że niema komu iść twojemi ślady...
Możebyś dawno — z twym koniem — Pegazem
Wzleciał ku słońcu, tęczy drogowskazem —
Ale cię miłość ojczyzny tu trzyma,
Choć rumak gotów, choć już brzęczy strzemię —
Ty ciągle patrzysz na twych ojców ziemię...
O jenerale... przyślij nam olbrzyma...

M. A. Niedzwiecki,

Styczeń, 1932.

AMERYKA—POLSKA

Gdyś w niewoli tonąc mroku,
Wolność sobie zdobywała,
Stała Francja przy twym boku
I rycerska Polska stała.

Sama walcząc o swobodę,
W krwawych rozpraw twardej dobie
Twoje słońce jeszcze młode
Rozjarzała krwią swą tobie.

Gdy wróg w pierś twą bił sztyletem —
W twojej zorzy pierwsze blaski,
Razem z wielkim Lafayettem,
Szli Kościuszko i Pułaski.

W ścisłym węźle bratnich przymierz
Twa widniała gwiazda ranna,
Jak dał życie pan Kazimierz
Za twą wolność pod Savannah.

Krew wylana, ta nie ginie,
Ani ducha ginie praca,
I w wyrocznej gdzieś godzinie
Pokoleniom się odpłaca.

Bo są takie święte zgody
Serc rycerskich i szlachetnych,
Że nie splamią ich narody
W dniach rozpacznych i w dniach świetnych.

Kalwaryjska krwawa stacja
Rwała cierniem Polski łono,
A twa wielka demokracja
Siostrą była nam rodzoną.

I gdy gromy w pierś nam biły
I szalała zbrodnia dzika,
Nigdy Polski nie zdradziły
Siostry: Francja, Ameryka.

Na twych ziemiach w dni najkrwawsze,
Gdy świt w chmurach a noc blisko
Miał przytułek Polak zawsze
I bezpieczne miał schronisko.

Gdy z Ojczyzny swej wygnany
Nikczemnemi dłońmi kata,
Biegł za morza, oceany —
Tyś witała go, jak brata.

W wielkiej wojny ogniach żrących,
Gdy się zdało, że Bóg kona,
Zagrzmiał duchom wojujących
Archanielski głos Wilsona.

I spełniło się marzenie,
Bo to głos był, jakby boży,
Jeszcze chwila, jeszcze mgnienie
I grób krwawy się otworzy.

Polska sercem zapamięta
Głos, co gra jej, jak muzyka
I w dzień twego woła święta:
Niechaj żyje Ameryka!

Artur Oppman (Or-Ot).

LIST DO KAROLA KNIAZIEWICZA

Pamiętam jednak dzień ów—ach! jak dla mnie drogi!
Gdym odwiedził szanowne Waszyngtona progi,
Męża, co swą odwagą i duszą niezgiętą
Nowej świata połowie daje wolność świętą,
Zostawił w sercach ziomków wdzięczność wiekopomną,
Jakże mi postać Jego jest dotąd przytomną!
Wyniosły, okazały, już z łabędzim włosem,
Z mową poważną, jednak z ujmującym głosem,
Pierwszych Rzymian prostotę, z godności wyrazem,
Widziałeś w twarzy Jego połączone razem.
Ilekroć z uniesieniem w Mount Vernon schronieniu
Mądrych jego powieści słuchałem w milczeniu!
I on mię pytał. A gdym skromnie opowiadał
Jakie nam ciężkie klęski spisek wrogów zadał,
I jak Polska runęła w świetnych swych zawodach,
Stoczyła się łza rzewna po starca jagodach.
O łzo! coś chlubne dla nas dowodziła żale,
Czemum cię zawrzeć nie mógł w kosztownym krysztale!
Chlubnym byłabyś świadkiem, zbyt rzewnem wspomnieniem,
Że mąż wielki zapłakał nad Polski zniszczeniem.

Juljan Ursyn Niemcewicz.

KOŚCIUSZKO I PUŁASKI U WASZYNGTONA

Kto wy jesteście i skąd przychodzicie
I jaka siła was tutaj popchnęła,
Że już o wczesnym dnia mglistego świcie
Nieustraszeni stajecie do dzieła?

O Waszyngtonie — drogi Jenerale...
Rzekł tłumacz — przyszli z dalekiej krainy;
Imiona ich są już w słonecznej chwale,
Całej Europie znane są ich czyny.

Oto Kościuszko — sam wódz kosynierzy,
A to brygadjer — Kazimierz Pułaski;
Widok ich postrach pośród wrogów szerzy
I łamie szańce, szyki i zatrzaski.

Przychodzą z ziemi, która choć przez wroga,
Rozćwiartowana i w strzępy rozdarta,
Płonie — jak wielka narodów pożoga,
Jak Feniks żyje — choć w popioły starta.

Przychodzą walczyć za wolność narodów.
Bo taką mają w sobie duszę — Laszą,
Że bez dyskusji, przesłanek, wywodów,
Walczą za "naszą wolność i za waszą"...

A wcześnie przyszli, bo im już przodkowie
Tak przykazali — wielkim testamentem,
By pierwsi byli w bitewnej rozmowie,
Ostatni zeszli, z konnicy tętentem.

A strach w ich duszach jest tylko przed Bogiem
Innego strachu nie zaznali w życiu,
Bo przyszli na świat — w pośród bitwy z wrogiem,
Mieczem władali, jak mistrze — w powiciu.

A choć na ziemi ich jest dużo krzyży
I liczne są rycerzy cmentarzyska,
To jednak gdy się tylko bitwa zbliży —
Z cmentarzy wojsko uśpione wytryska.

I przyszli do nas — mówią, iż słyszeli,
Że tu o wolność walka wre zawzięta.
A choć mil krocie kraj ich od nas dzieli,
Przyszli — bo walka o wolność — rzecz święta.

Waszyngton powstał i rzekł: bracia mili,
Oto pasuję was na mych rycerzy,
Gwiaździsty sztandar niechaj od tej chwili
Wielkość cnót waszych i na nas roztoczy.

Jeśli w ojczyźnie waszej jest rycerzy
Takich moc — a kraj wasz w gruzy się wali,
To prędzej świat się w kataklizmie spali,
Niż wy padniecie u kresu wybrzeży.

Wyrzekł wódz wielki prorocze te słowa —
I jak grom brzmiała genjusza mowa,
Bo odczuł, że to z poza światów końca
Zeszły się z sobą — trzy potężne słońca...

M. A. Niedzwiecki

Chicago, 6-go stycznia, 1932.

Udział Kościuszki w Walce o Niepodległość Ameryki Północnej

Kasper Wojnar.

W dwa lata po klęsce pierwszego rozbioru Polski, rozległo się na drukiej półkuli świata hasło wolności i walki o niepodległość, które żywo poruszyło wszystkie szlachetniejsze serca i umysły a wśród i nich i Tadeusza Kościuszkę. Nie mając na razie możności oddania sił swoich i zdolności na usługi Rzeczypospolitej, postanowił pośpieszyć na pomoc Amerykanom, walczącym o zerwanie jarzma angielskiego, w nadziei, że tam nabędzie praktyki wojennej i doświadczenia, jak następnie tem skuteczniej pracować i służyć własnemu narodowi.

Od czasu jak Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę w r. 1492, państwa europejskie wysyłały swoich ludzi i zdobywały dla siebie rozmaite części Ameryki. Anglicy zajęli prawie całą północną Amerykę i zaludnili ją swymi osadnikami. Przez 300 lat rozwijały się te osady czyli kolonje bardzo pięknie; osadnicy wybierali sobie przełożonych i tak się razem zgodnie rządzili. Nad niemi miała zwierzchnictwo Anglja jako założycielka i opiekunka. I rzeczywiście początkowo była opiekunką, ale później chciała się stać ciemiężycielką, więc koloniści się na to oburzyli i wypowiedzieli jej posłuszeństwo. Anglicy wydawali prawa, które nie pozwalały Amerykanom od kogo innego kupować towarów, jak tylko od nich, a nakazywały Amerykanom sprzedawać swoje towary także tylko Anglikom. Nadto nałożyli Anglicy na Amerykanów wysokie podatki.

Takie postępowanie oburzyło wszystkich kolonistów, porozumieli się więc ze sobą i wysłali swoich

wybrańców na kongres czyli wiec do Filadelfji w roku 1774. Tutaj wszystkie prowincje czyli kolonje uchwaliły podjąć walkę o wolność.

Zgromadzeni delegaci wydali do narodu odezwę, którą w wyjątkach przytaczamy:

"...Wszyscy ludzie są równi. Stwórca wyposażył ich przyrodzonemi prawami, to jest życiem, wolnością i pragnieniem szczęścia, a dla zabezpieczenia tych praw może naród taki rząd sobie ustanowić, jaki dla swej pomyślności za najlepszy uważa; ilekroć jakakolwiek forma rządu sprzeciwia się celowi, w jakim była ustanowiona, naród ma prawo zmienić ją zupełnie i ustanowić rząd nowy. Dzieje teraźniejszego panowania w Wielkiej Brytanji (Anglji) są jednym ciągiem niesprawiedliwości i przywłaszczeń, dążących jawnie do rozciągnięcia nad temi osadami nieograniczonej tyranji.

Dlatego my, przedstawiciele Stanów Zjednoczonych Ameryki, zgromadzeni na Ogólny Kongres, biorąc na świadka uczciwości naszych zamiarów Najwyższego Sędziego świata, uroczyście oświadczamy w imieniu Zjednoczonych tych Osad, że chcemy być niezawisłem i wolnem państwem, wypowiadamy posłuszeństwo rządowi angielskiemu, znosimy wszelką od niego zależność polityczną i z zaufaniem w Opatrzność Bożą wykonanie tych postanowień zaręczamy naszem życiem, mieniem i honorem".

Po wydaniu odezwy rozpoczęli Amerykanie walkę na śmierć i życie z Anglikami. Wielu ochotników ze wszystkich krajów śpieszyło im na pomoc, bo walce o wolność i niepodległość każdy człowiek szlachetny sprzyjać i pomagać powinien. Do ich liczby należał także Tadeusz Kościuszko wraz z pięciu rodakami. Kiedy stanął w Filadelfji przed naczelnym wodzem wojsk amerykańskich Waszyngtonem, a ten się go zapytał, po co przychodzi i czy ma jaki list polecający — odrzekł Kościuszko: "Przychodzę walczyć jako

ochotnik za amerykańską niepodległość, a czym zdolny, doświadcz mnie wodzu".

Ta odpowiedź podobała się Waszyngtonowi i zaraz przyjął Kościuszkę do wojska. Po przedłożeniu dokumentów z odbytych studjów wojskowych i po świetnem wykonaniu planu obwarowania portu morskiego mianowano Kościuszkę pułkownikiem inżynierji i przydzielono do armji północnej pod rozkazy jenerała Gatesa. Wkrótce przekonali się Amerykanie, jak zdolnego dowódcę, a szczególniej inżyniera zyskali w Kościuszce. Dla braku miejsca trudno tu opisywać całą wojnę amerykańską, a choćby tylko udział w niej Kościuszki, powiem tylko, że w armji północnej przeważnie on obwarowywał miasta i obozy, budował niezdobyte twierdze, sypał szańce i okopy i w niejednej bitwie jemu głównie zawdzięczali Amerykanie odniesienie zwycięstwa nad Anglikami!

Najświetniej okazał Kościuszko swoje znakomite zdolności wojskowe przez założenie obozu obronnego w bardzo dogodnem miejscu pod wsią Saratogą. Jenerał Gates, mając wyruszyć przeciwko wojskom angielskim, wysłał naprzód Kościuszkę, aby wyszukał odpowiednie miejsce pod obóz obronny nad rzeką Hudson. Kościuszko uznał za najodpowiedniejszą wioskę Saratogę, następnie zamienił ją w krótkim czasie w prawie niezdobytą fortecę. Tu odbyły się dwie mordercze bitwy, zakończone zupełną klęską Anglików, którzy po zaciekłych szturmach na Saratogę musieli z ogromnymi stratami ustąpić z pod niezdobytej twierdzy (w r. 1777). W dziesięć dni później dopędzili Amerykanie znękanego nieprzyjaciela, zmusili go do złożenia broni, biorąc w niewolę cały oddział z blisko 6 tysięcy żołnierzy.

Świetne to zwycięstwo, które według urzędowego raportu jenerała Gatesa było w znacznej części zasługą naszego bohatera, miało ogromnie doniosłe znaczenie dla dalszego powodzenia powstania, albowiem "podniosło ducha w narodzie" i obudziło taką ogólną

wiarę w powodzenie sprawy, że wkrótce potem Francja uznała Stany Zjednoczone za niepodległe państwo i zawarła korzystne dla nich przymierze.

Drugiem znakomitem dziełem polskiego inżyniera była budowa twierdzy w West Point nad rzeką Hudson w miejscu, gdzie ona przepływa przez Kraj Wyżyn. O prowadzenie tej roboty ubiegał się francuski inżynier, pułkownik Radiere, jednak Kościuszko zyskał już sobie taką sławę i zaufanie, że jemu to ważne dzieło powierzono.

W przeciągu półtrzecia roku dokonał Kościuszko wielkiego zadania przy udziale 2500 robotników i "nadał fortecy taką siłę, iż odstraszyła nieprzyjaciela od wszelkiego pokuszenia się o zdobycie panowania nad Krainą Wyżyn" — jak się wyraził jenerał Armstrong.

W West Point znajduje się najstarsza akademja wojskowa w Ameryce, zawdzięczająca swój początek Kościuszce, bo stosownie do jego rady tam ją rząd Stanów Zjednoczonych ufundował w r. 1802. Wdzięczni mieszkańcy nazwali park miejski "ogrodem Kościuszki", a młodzież kształcąca się postawiła ze składek żelazny pomnik ku czci wielkiego bohatera i człowieka.

Kościuszko bowiem okazał się w tej wojnie nie tylko znakomitym wodzem, ale i nadzwyczaj szlachetnym człowiekiem.

Razu pewnego napadł oddział Amerykanów na śpiących żołnierzy angielskich i począł ich bez litości mordować. Skoro na to nadjechał Kościuszko, rzucił się między walczących i z niebezpieczeństwem własnego życia ocalił życie przeszło 40 Anglikom, zakazując oddziałowi amerykańskiemu zabijać ludzi bezbronnych. Waszyngton, dowiedziawszy się o tem, dał mu w dowód szacunku pierścień. Rzadko też znaleźć człowieka takiej gołębiej dobroci serca, jak nasz bo-

hater. Nieraz z własnego żołdu wspierał on żołnierzy angielskich, z którymi walczył — gdy ich wzięto do niewoli.

Ale nietylko jako znakomity inżynier zasłynął Kościuszko w wojnie amerykańskiej także w wielu innych wypadkach, lecz również jako wódz na czele wojska a przyczynił się głównie do zdobycia ostatniej twierdzy angielskiej, miasta Charleston, do którego pierwszy wkroczył jako zwycięzca (w grudniu 1782 roku).

Nic też dziwnego, że za te ogromne zasługi, położone dla sprawy niepodległości Stanów Zjednoczonych, zyskał sobie miłość, wdzięczność i uwielbienie u Amerykanów. Jenerał Greene pisze o Kościuszce, że był "najużyteczniejszym i najmilszym towarzyszem broni", że "z niczem nie dawała się porównać gorliwość jego w służbie publicznej". Z uwielbieniem wprost wyraża się jenerał o charakterze polskiego bohatera, o jego "bezprzykładnej skromności i zupełnej nieświadomości tego, że dokonał czegoś niezwykłego"; dalej wspomina, że "nigdy nie objawiał żądań albo pretensji dla siebie samego, jak nigdy nie pominął sposobności odznaczenia i polecenia cudzych zasług..."

Po siedmioletniej wytrwałej i zaciętej wojnie wywalczyli sobie Amerykanie zupełną wolność i niepodległość, którą im Anglicy przyznali pokojem zawartym w Paryżu w r. 1783.

Kościuszkę za niezwykłe zasługi zamianowano na mocy uchwały Kongresu z dnia 13-go października 1783 r. jenerałem brygady i obdarzono medalem wojskowym "Towarzystwa Cyncynatów",[1] zawiązanego w obozie w r. 1783. Na jednej stronie tego medalu

---

1) Cincinnatus był to szlachetny i mądry Rzymianin, którego naród w chwili niebezpieczeństwa Ojczyzny powoływał po dwakroć od pługa na dyktatora czyli naczelnika państwa z nieograniczoną władzą. Po zwycięźeniu wrogów wracał Cincinnatus do pługa, nie przyjmując żadnej nagrody od narodu. Żył w piątym wieku, to jest blisko 500 lat przed narodzeniem Chrystusa.

był napis łaciński: "Omnia reliquit servare Rempublicam". (Wszystko porzuca, by ratować Rzeczpospolitą), na drugiej "Nagroda cnoty". Medal ten dawano najzasłużeńszym i najszlachetniejszym; z pośród cudzoziemców, którzy walczyli o niepodległość północnej Ameryki, tylko trzech doznało tego zaszczytu, a wśród nich Kościuszko. Nadto wyznaczono mu pensję i darowano bardzo wielki obszar ziemi. Mógł więc Kościuszko bez trosk pędzić życie w Ameryce, kochany i szanowany przez wszystkich, ale on pragnął powrócić do Ojczyzny i służyć jej zdobytem doświadczeniem wojskowem. Tak też uczynił, żegnany z żalem przez Waszyngtona i wszystkich Amerykanów. W lipcu 1784 r. wsiadł na okręt w Nowym Yorku, a w jesieni zawitał do kraju.

Tułacze Życie Kazimierza Pułaskiego (1772-1777)

Po upadku Konfederacji Barskiej, Kazimierz Pułaski był zmuszony do opuszczenia Polski nazawsze. Dnia 25-go czerwca 1772 roku wydał do swoich druhów i towarzyszów broni pożegnalną proklamację i cichaczem przedostał się zagranicę.

Pojechał przez Śląsk do Drezna, gdzie jakiś czas zabawił, a stąd w roku 1773 udał się do Frankfurtu nad Menem. W mieście tem zabawił Pułaski zgórą rok, utrzymując żywą korespondencję z przyjaciółmi w Polsce.

Z korespondencji tej tu we Frankfurcie dowiedział się, że w Turcji gromadzą się znowu resztki konfederatów barskich.

Na wiadomość o tem w grudniu 1774 pośpieszył do Turcji. Przedostał się do Sylistrji i tam znalazłszy 40 swoich ludzi, utworzył z nich oddział wojskowy.

Na wieść jednak o tem, że konfederaci w kraju poddali się królowi i powrócili do Polski, gdzie otrzymali amnestję, zachęcił i swoich towarzyszów do powrotu do kraju. Wierni żołnierze usłuchali swego przyjaciela i powrócili do ojczyzny.

Sam jednak komendant nie powrócił.

Pozostał w Konstantynopolu.

Sam. Nic mu nie pozostało, ani nikt nie pozostał z nim.

Ojca stracił, obydwóch braci stracił, cały majątek zabrany przez Rosję, stracił.

Pozostał sam, ze smutnem sercem swojem i dolą swą. I honor ojczyzny pozostał z nim.

W Konstantynopolu dowiedział się Pułaski z gazet, iż w Ameryce wybuchła rewolucja przeciwko An-

glji i że we Francji przebywa agent amerykański niejaki Franklin, który zaciąga żołnierzy na pomoc Amerykanom.

Nie myśląc wiele wyjechał do Francji, gdzie spotkał się z Franklinem i szczegółowych zasięgnął informacyj o rewolucji amerykańskiej.

Zdecydował się wyjechać do Ameryki i oddać swe cenne usługi wydobywającej się na wolność republice. Sam bowiem był republikaninem.

Kazimierz Pułaski i Benjamin Franklin

Po upadku konfederacji barskiej Pułaski, zagrzany opowiadaniami o wojnie kolonii amerykańskiej przeciw Anglikom, postanowił do onego kraju zamorskiego popłynąć i kolonistom swe usługi ofiarować.

Wtedy to przybył do Paryża pełnomocnik amerykański, Benjamin Franklin, człowiek uczony i zacny, który werbował ochotników i za morze wysyłał.

Pułaski zainteresował się tą osobistością, pośpieszył z Turcji, 4-go lutego 1776 roku do Paryża, aby się dowiedzieć więcej szczegółów, dotyczących rewolucji amerykańskiej.

Spotkanie się tych dwóch wybitnych osobistości nastąpiło w małej wiosce pod Paryżem, dnia 17-go października, 1776.

Franklin był to starzec poważny, siwowłosy, bardzo miłej i otwartej twarzy.

"Dowiedziawszy się — pisze Rogowski w pamiętnikach swoich — jakie są nasze zamiary uścisnął nam ręce i bardzo był nam rad. Spodziewam się, powiedział, że panowie Polacy, którzy w świecie mają sławę dzielnych wojowników, będą wielką pomocą dla mojej biednej ojczyzny". Na co Pułaski odparł: "W narodzie naszym obrzydzenie jest do wszelkiej tyranji, a zwłaszcza cudzoziemskiej, więc gdzie na kuli ziemskiej biją się o wolność, to jest jak gdyby nasza własna sprawa".

Zanim Pułaski wyjechał do Ameryki, często odwiedzał Franklina, informując się i rozmawiając dużo o stosunkach istniejących w Ameryce.

Wyjazd Kazimierza Pułaskiego do Ameryki

Zaopatrzony w listy polecające od Benjamina Franklina, wyjechał Kazimierz Pułaski do Ameryki z Havru dnia 4-go czerwca, 1777-go roku.

Dnia 20-go sierpnia stanął na ziemi amerykańskiej tego samego roku 1777 — na tej ziemi, na której Pułaski miał się okryć nieśmiertelną sławą i gdzie miał zginąć bohaterską śmiercią w obronie wolności Ameryki.

Wylądował i natychmiast udał się z listem od Franklina do Jerzego Waszyngtona, który obozował naówczas w okolicach Filadelfji.

Obóz Waszyngtona koło Filadelfji

"Było może 10,000 wojska, obozującego w szałasach, wyplatanych z chróstu — pisze naoczny świadek Rogowski, towarzysz Pułaskiego — i zdaleka wyglądało to jakby wieś olbrzymia, otoczona wałami i rowem. Na pierwszy rzut oka nie podobała mi się ta armja amerykańska, nie mając bowiem jednakowych mundurów, nie robiła wrażenia wojska, ale zakrawała na pospolite ruszenie. Większa część żołnierzy ubrana była w szare kurty, niektórzy tylko w płócienne opończe, jedni w butach, drudzy w trzewikach, a inni zupełnie boso'. W ogniu natomiast bili się odważnie, tak, że Pułaski, stary wojownik wyraził się tak o tych żołnierzach: "Nie mają butów, ale mają serce."

Spotkanie Pułaskiego z Waszyngtonem

Było to w roku 1777 przy końcu sierpnia w obozie Waszyngtona.

Od dwóch lat krążyła już po kraju deklaracja amerykańska, zwiastująca zrzucenie przemocy an-

gielskiej i ogłaszająca w imię wolności i swobody obywatelskiej powstanie wolnych Stanów Zjednoczonych. Wojska angielskie nacierały z całą furją na bohaterskie oddziały amerykańskich powstańców, walczących w imię nowych haseł, nowej idei powstającego demokratyzmu.

W obozie ruch. Oto przybyły wiadomości, że nieprzyjaciel zachodzi od Brandywine. Gorączkowe przygotowania do wymarszu na krwawe spotkanie z nieprzyjacielem.

W tej chwili młody oficer polski stanął przed Waszyngtonem, ofiarując swe usługi na obronę wolności Ameryki.

Waszyngton przywitał Pułaskiego serdecznie i z miejsca zapytał go, czy chce służyć w piechocie, czy w kawalerji. Na odpowiedź Pułaskiego, że wyrósł na koniu i wolałby być przeznaczonym do jazdy, Waszyngton uradował się bardzo, albowiem kawalerja kolonistów nie miała dowódcy.

Przydzielił tedy zaraz Pułaskiego do swego sztabu i natychmiast napisał do kongresu prośbę, by Pułaskiemu oddano dowództwo nad całą jazdą amerykańską.

Kongres przyjął zaraz wniosek Waszyngtona, mianował Pułaskiego brygadjerem kawalerji amerykańskiej.

Bitwa pod Brandywine

Pułaski z armją Waszyngtona w charakterze sztabowca niedługo czekał na sposobność zdobycia imienia dzielnego oficera i dobrego Polaka.

Pod Brandywine dnia 11-go września 1777 roku nastręczyła się Pułaskiemu okazja. Tu był początek jego zasług w walce o wolność Ameryki, tu był pierwszy popis rycerza polskiego wśród wojsk kolonjalnych.

W tej walce Pułaski odznaczył się walecznością, gdy ze swymi dragonami przeleciał cały obóz angielski, obracając go w niwecz.

Tu też Pułaski z garstką tylko swych ludzi uratował armję Waszyngtona od rozbicia.

Przyznaje mu to pułkownik Paweł Bentalou, który z Pułaskim zapoznał się w dzień przed bitwą pod Brandywine. Odtąd też był nieodstępnym towarzyszem Pułaskiego aż do jego bohaterskiej śmierci pod Savannah.

W cztery dni po bitwie pod Brandywine Kongres mianował Pułaskiego generałem kawalerji wojsk powstańczych.

Zima w roku 1777-1778

Kawalerja amerykańska nie miała żadnej wprawy bojowej, dlatego też Pułaski poświęcił całą zimę na wyćwiczenie i zaprowadzenie w swoich szeregach karności całkowitej.

Na ciągłych ćwiczeniach i drobnych podjazdach płynęły tygodnie i miesiące.

Wigilja K. Pułaskiego i T. Kościuszki

Było to w roku 1777 w przededniu wigilji Bożego Narodzenia. Pułaski ze swym oddziałem stał naówczas w Trenton, N. J.

Nadchodzące dni świąteczne poddały myśl Karolowi, adjutantowi Pułaskiego, urządzenia polskiej wigilji...

"Taił się z tem ale naostatek musiał zwierzyć się towarzyszowi Pułaskiego Maciejowi, bo bez jego pomocy wykonać tego nie mógł.

"Panie Macieju. Mam do was prośbę. Gdybyście mi pomóc chcieli, zrobiliśmy coś miłego generałowi.

"Z duszy, z serca, wszak wiesz, że ja dla niego dałbym się w kawałki porąbać. Mów.

"Jutro wigilja Bożego Narodzenia. Ja wszystko urządzę. Mam już zamówione ryby morskie, jaja żółwie, murzyn nasz ugotuje. Zjemy na sianie po polsku i przy gwiazdach.

"A niech ci Bóg płaci, myśl złota. Ale skądże ty opłatka weźmiesz. A bez opłatka co to będzie za wilja. Niema wilji bez niego, to darmo.

"Na próżno łamali sobie głowę. Zgodzono się jednak zastawić wieczerzę z ryb na sianie, a w kącie snop polski.

"Snop. Miły Boże, skądże tu wziąć w Ameryce ów snop polskiego zboża? Gdzież żyto, pszenica, jęczmień, owies... wszystko aż do lnu i tatarki? Bo w snopie na wilję nic nie powinno brakować.

"A im tego wszystkie potrzeba było, by polską macierz przypominało.

"Maciej Rogowski nie śmiał pytać skąd się wezmą pieniądze na ucztę, wiedział bowiem, że żaden ich nie miał.

"Karol miał od ojca zegarek złoty z łańcuszkiem, długo oszczędzał go, wahał się, żałował, ale dla wodza ukochanego można było poskąpić ofiary? Poszedł i sprzedał go po cichu. Z tego grosza miała się wilja wyprawić.

"Szło tylko o opłatek.

"Już Karol pomyślał o upieczeniu opłatka, gdy dowiedział się, że w niedalekiej osadzie mieszka ksiądz Francuz. Karol siadł na konia, aby pojechać do tego księdza.

"Już minął ostatnie domki osadników, gdy na drodze zjechał się z obcym mężczyzną, widocznie podróżującym. Rysy jego nie piękne, ale miłe i łagodne, miały w sobie coś tak polskiego, że Karol uderzony i strojem i twarzą, natychmiast konia powstrzymał.

"Podróżny siedział na koniu objuczonym i miał przewodnika.

"Przyłożywszy rękę do czapeczki, podróżny odezwał się po angielsku.

"Czy znajdę w Trenton brygadjera Pułaskiego? Pan pewnie należysz do jego oddziału?

"Po wymowie pytającego Karol poznał cudzoziemca. Serce mu uderzyło i sam nie wiedział, jak wyrwało mu się słowo polskie.

"A Polak, brat, zawołał ochoczo podróżny i obaj skoczyli z koni, aby uściskać się jak bracia rodzeni.

"Jadę od granic Kanady, rzekł podróżny, umyślnie tu do Was, do Pułaskiego, którego poznać pragnąłem. Nazywam się Tadeusz Kościuszko.

"O słyszeliśmy już o Was. Jakże generał rad Wam będzie. Ja jestem adjutantem jego. Nazywam się Karol Pluta.

"Ach nie wiesz, przerwał rozrzewniony Kościuszko, co to jest po długim poście posłyszeć mowę swoją, zobaczyć brata.

"Wsiedli na konie i wrócili do Trenton. Pułaski był uszczęśliwiony z przybycia gościa.

"Tym sposobem wilja Bożego Narodzenia stała się podwójną uroczystością dla tych dwojga wielkich serc, rzuconych losem w daleki świat, zdala od swej najdroższej ojczyzny Polski.

"Słuchaj, mój Macieju, rzekł Pułaski wieczorem do Rogowskiego, nasz święty ojcowski obyczaj każe gościa serdecznie przyjmować, a jeszcze takiego gościa, naszego Polaka. Sprzedaj, co chcesz, zastaw, pożycz, a trzeba, żeby wiedział, żeśmy mu radzi.

"Panie Generale, rzekł Rogowski, proszę być spokojnym. Obmyślimy środki.

"Dzień wigilijny zeszedł prędko. Obydwaj wielcy ludzie poszli oglądać okolicę rozmawiając po drodze o Bugu i Wiśle.

Nareszcie nadszedł wieczór wiligiljny.

Karol oczekiwał już tylko ukazania się gwiazd...

Wszystko było gotowe...

A kiedy już pierwsza gwiazda się ukazała, wszedł do ogródka, gdzie przechadzali się dwaj wielcy bohaterowie i rzekł do Pułaskiego:

Panie Generale, wieczerza na stole.

A wieczerza. Tak. Żartuj zdrów. Co mi to za wieczerza w Ameryce.

Nie polska to nasza, owa wigilja braterska uczta święta.

Wtem murzyn otworzył drzwi.

Salka przedstawiała widok niezwyczajny i niespodziany.

Naga izba ubrała się świątecznie, ściany zawieszone były zielonemi gałęziami cedrów, stół świecił rzęsisto, okryty białym całym obrusem, pod którym znajdowało się siano. W kącie stał ogromny snop zboża, przypominający godło pracy naszego rolnika.

Pułaski stanął olśniony. A widząc opłatki na talerzu, odwrócił się do Karola i ze łzami prawie porwał go za szyję, całując: Poczciwy, kochany przyjacielu, chyba twoje złote serce dokazać tego mogło.

Drżącą ręką chwycił opłatek i podał go pierwszemu Kościuszce. Gdy w Polsce rozłamiemy go kiedyś z braćmi — przypomnij sobie Trenton — rzekł z cicha.

Milcząco i uroczyście jak w świątyni, łamali się tułacze opłatkiem, a myśli ich i serca biegły tam, skąd dla nich biły także serca stęsknionej rodziny, braci i przyjaciół.

Sztandar Pułaskiego

Sztandar Pułaskiego to drogocenny klejnot, to szacowny znak, bo pod nim walczył Kazimierz Pułaski i pod nim swe młode życie położył za wolność Ameryki.

Jedyna to istniejąca relikwia po Pułaskim i jego legjonie.

W Bethlehem, Pa. mieszkali podówczas Bracia i Siostry Morawskie. Dom tych Sióstr często był napadany przez rabusiów. Pułaski, który w tych stronach z polecenia Waszyngtona prowadził walki przez całą zimę i wiosnę roku 1778, chronił ten dom Sióstr i opiekował się niemi.

Z wdzięczności za to Siostry wyhaftowały wspaniały sztandar i ofiarowały go dla Legji Pułaskiego.

Chorągiew zrobiona z jedwabiu z odznaką Oka Opatrzności, otoczona dokoła trzynastu gwiazdami i napisem: Non alius regit. Brzegi bramowane złotem a po rogach wyszyte cztery granaty. Na drugiej stronie znajdują się litery U. S. i znowu łaciński napis: Unita virtus fortior.

Po śmierci Pułaskiego, sztandarem opiekował się jego serdeczny przyjaciel Bentalou. Potem sztandar poszedł w poniewierkę. Od zupełnego zniszczenia uratował go Mayer, sekretarz Marylandzkiego Towarzystwa Historycznego, który w roku 1845 wydostał chorągiew z rąk właścicieli. Resztki chorągwi do dzisiaj znajdują się w Baltimore, Md. Każdy Polak może tę drogocenną pamiątkę oglądać w tem mieście. — (Longfellow: Hymn of the Moravian Nuns).

Rok 1778

Rok 1778 był bardzo gorącym dla Pułaskiego i jego żołnierzy. Musiał prowadzić walkę podjazdową, zjawiać się nagle, cofać się, to znowu uderzać na nacierające siły angielskie.

On to uratował armję amerykańską od zagłady przed niespodziewanym napadem Anglików pod Warren, on to walczył pod Germantown, gdzie przez niespodziewany atak zabrał wielką ilość jeńców wojennych i zmusił Anglików do cofnięcia się z zajmowanych pozycyj.

Odznaczył się walecznością pod Tavern, White Marsh i w wielu innych potyczkach zwłaszcza w licznych potyczkach w stanie New Jersey.

W roku 1778 dnia 28-go marca zrezygnował z komendy nad całą kawalerją i zorganizował niezależny oddział wojskowy, znany pod nazwą Legjonu Pułaskiego.

Cudów waleczności dokazywał z tym oddanym sobie całkowicie oddziałem. Gdzie się go najmniej spodziewano, zjawiał się nagle, siejąc postrach i zamieszanie w wojsku i obozach nieprzyjacielskich.

W październiku 1778 otrzymał rozkaz udania się ze swoim oddziałem do miejscowości: Little Egg Harbor, gdzie napotkał silną armję angielską i gdzie poniósł wielkie straty i mimo ponawianych ataków, zmuszony był do opuszczenia terenu.

Rok 1779

Całą zimę przepędził Pułaski w miejscowości Minisink, N. J., skąd liczne czynił wycieczki przeciwko Anglikom, napadając ich znienacka i czyniąc wielkie szkody w obozie nieprzyjacielskim.

Z wiosną tego roku, w maju 1779 wysłany został do Charleston, gdzie 8-go maja 1779 uderzył na nadchodzącą armję brytyjską tak skutecznie, że trzymał ją w szachu aż do nadejścia pomocy w dniu 13-go maja tegoż roku.

Jako dowódca swego legjonu wspierał generała Greena, a walczył tak skutecznie, że w krótkim czasie przepędził Anglików z całej południowej Karoliny.

Ostatecznie w ciągłych utarczkach i podjazdach utracił Pułaski zdrowie, tak dalece, że przyjaciele radzili mu odpocząć. Zawziął się jednak Pułaski i ani słyszeć nie chciał o odpoczynku.

Śmierć bohatera

We wrześniu 1779 roku odesłany został wraz z wojskiem pod rozkazy generała McIntosh w Savannah, w stanie Georgia.

Tu zanim wojska angielskie zorjentowały się w położeniu, Pułaski przerwał ich linje i nawiązał komunikację z odciętą flotą francuską.

Dnia 9-go października 1779 roku Kazimierz Pułaski na czele dwustu kawalerzystów uderzył na obóz angielski z zamiarem przedostania się na tyły do obo-

zu i zdobycie w ten sposób zwycięstwa. Będąc doskonałym kawalerzystą rzucił się naprzód w gorący bój. Tu jednak dostał się w krzyżowy ogień angielskich kartaczownic i śmiertelnie trafiony pociskiem w górną część prawego biodra, padł na ziemię.

Rannego bohatera przyniesiono do okrętu amerykańskiego Wasp, gdzie Pułaski skonał 11-go października 1779. Bohatera pochowano w morzu z wszelkimi honorami wojskowymi.

Niektórzy sądzą, że Pułaski nie był pochowany w morzu, lecz w Charleston, gdzie odbyła się wspaniała ceremonja pogrzebowa, lub też w Savannah, gdzie wdzięczne miasto postawiło bohaterowi pomnik, pod który pierwszy kamień położył przyjaciel zabitego, Lafayette, w roku 1825.

O złożeniu w łono morskie ciała bohatera pisze poeta.

Po zwyczaju w białe żaglów płótna
Omotano bohatera zwłoki
I dźwignęła w wody nurt głęboki,
Jakby dla martwego jego ciała,
Ni piędź ziemi na grób nie została.

Tak zginął dziewiątego października roku tysiąc siedmset siedmdziesiątego dziewiątego ostatni konfederat barski, mając zaledwie trzydzieści sześć lat pełnego bohaterstwa życia.

W Savannah wystawiono mu pomnik a w galerji kongresowej wśród zasłużonych mężów Ameryki znajduje się popiersie Kazimierza Pułaskiego.

SAVANNAH
(Skrót)

M. Romanowski

Obozem hufce stanęły na błoniach
Spocząć; Pułaski poglądał na morze,
Złote się gwiazdy migotały w toniach,
I rubinowe kąpały się zorze;
Fala za falą wstawała z zwierciadła
I szła i do nóg wodzowi się kładła.

Koń jego trawę pasł nad morskim brzegiem
I strzemionami dzwonił idąc błonią:
Tak mu bywało, gdy stawał noclegiem
W Polsce; po siołach na pacierze dzwonią,
A z pól wracali do chat robotnicy
Na sen, pod skrzydła Maryi dziewicy.

Czy wy od Polski, fale, czy wam znany
Dniepr i zielone po nad Wisłą pola?...
Ósmy rok z dala od ziemi kochanej
Po obcych błoniach goni go niedola.
A jeśli spocznie jak żóraw na straży,
Za Polską wodzi oczyma — lub marzy.

I pozostały mu dotąd z pól carskich
Ten sam wzrok orli, ten sam duch marsowy,
Z któremi spadał na służalców carskich,
Lub stał na murach świętej Częstochowy;
Blask mu na czoło bije od oręża,
A kędy oręż obróci — zwycięża.

O! ucisz, Panno, to serce spokojem,
Miłości jego daj rzeźwiącą wiarę! —
Na morskim brzegu usnął wódz przed bojem,
Po niebie cicho szły obłoki szare,
Duch jego smętny odmawiał różaniec,
Gwiazdy szły gasnąć na zachodni kraniec...

Już świt. — Już wrzasły trąby ostre głosy,
Słońce wnet błysło na morze i błonia;
Pułaski szablę otarł z rannej rosy,
Przeżegnał piersi i wskoczył na konia;
Mgła się po ziemi rozścieliła ranna,
Wódz pomknął, za nim grzmiało: "Na Savannah!"

Niegdyś mu grzmiała pieśń konfederacka,
Orły mu siwe wskazywały drogi,
Kiedy na wrogów rankiem szedł z nienacka,
Wpadał na działa i siekł co do nogi.
Takiej tu pieśni nikt mu nie zanuci;
Orły czekają w Polsce — czy nie wróci?

Smutny więc jechał, i do towarzysza
Mówił o swoim zgubionym szkaplerzu;[1])
"Wkrótce, mój bracie, będzie w sercu cisza,
I drobna prochu garść po twym Kaźmierzu;
Zły znak!... Duch czuje drogę, bracie miły! —
Jam się spodziewał w ojczyźnie mogiły."

"Na naszych błoniach mijały mię groty;
Nie było dane dłoni mej kraj zbawić!...
Inny się zjawi jakiś anioł złoty
W rycerskiej piersi, by ten ród naprawić.
Nieszczęście wielkie — wielkich dusz kołyską;
Kto wie — ten anioł może jest już blisko."

"Bez sakramentów zginę!... Bądź Twa wola!"
Rzekł, a Savannah już mu widne z dali;
Cwałem więc z jazdą kopnął się na pola,
Kędy Anglicy szeregami stali,
I usypane reduty ze szańców
Siały kartaczów gradem na powstańców.

---

1) Przed bitwą pod Savannah miał Pułaski przeczucie śmierci; zgubienie szkaplerza wziął jako zły omen.

I w porę przypadł, bo pod jego wzrokiem
Wrzała już bitwa zacięta wśród łanów.
Już szli Anglicy wyciągniętym krokiem
Z bagnetem w ręku na Amerykanów;
Wnet jedna chwila los bitwy przeważy...
A jemu zapał zajaśniał na twarzy.

"Naprzód![2] i w dwieście podskoczyli koni,
Za bohaterem lecieli na działa;
Wiatr ich zaledwie dościgał na błoni;
Szable migały w słońcu, ziemia drżała,
I przełamali Anglików dwa fronty,
A wtem błysnęły na okopach lonty.

Zagrzmiało... "Jezus — Marya!" wódz krzyknął
I padł; — zwycięzca padł na polu chwały
I skonał śmiercią, do której przywyknął;
I leżał z szablą swą jak posąg biały,
I Bóg mu rozlał na obliczu ciszę;
W koło płakali druh i towarzysze.

---

2) Pierwszem angielskiem słowem, którego się nauczył Pułaski jadąc do Ameryki, było: Forward, naprzód.